

Kazimierz Żurek

1 Maja 20 m 8

24-140 Nałęczów 6 LAT W KAZACHSTANIE

spisane

Terese Świątojerdno

tel. 31-84-68

ARCHIWUM WYDZIAŁU

Wspomnienia Kazimierza Żurka

II/1051

Namówienie Kazika na rozmowę o latach spędzonych w Kazachstanie nie było łatwe. Praca dydaktyczna w Liceum w Nałęczowie połączona z kierownictwem internatu, zajęcia sportowe z młodzieżą, wreszcie działka i obowiązki głowy rodziny wypełniały czas tak, że ledwie starczyło go na kilkugodzinną wyprawę na ryby.

Ale kiedy przeszedł na emeryturę, kiedy dopadły go zawały serca zmuszające do zwolnienia trybu życia - lata dziecięce i chłopiące, lata spędzone w Tatjanowce-Kriwoszejewce wracały we wspomnieniach i opowiadaniach coraz częściej.

- Wiesz, mówię, okres wojenny często mi się teraz sni. Kiedy jadę pociągami czy autobusem i patrzę na lasy i pola, przypominają mi się tamte krajobrazy, stają mi przed oczyma twarze tamtych ludzi. So tylu lat. Dziwne, prawda?

Walka o przeżycie pięciu braci w wieku od 9 do 15 lat, którzy z choro-
wą ratką przetrwali ostre kazachstańskie zimy, nieustanny głód i pra-
cę ponad siły - zasługuje na ocalenie od zapomnienia. Wszak pośród
nas z każdym rokiem pozostaje mniej świadków owych czasów spędzonych
na nieludzkiej ziemi.

Ale zacznijmy historię rodziny Żurków od początku wojny; jest to
jedna z opowieści niezwykłych dla słuchających i czytających, a zupeł-
nie "zwyčajna" dla opowiadającego.

W październiku 1939 roku żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza
Piotr Żurek wraz z żoną i pięcioma synami uciekł z miejscowości Deder-
kały na Wołyniu, gdzie grasowały bandy ukraińskie, do Arzemieńca. Zda-
żył już wrócić cudem z głębi Rosji, ratując się ucieczką z transport-
wiozącego go do któregoś z "gułagów" lub do Kozielska czy Starobiel-
ska i zamierzał przedostać się na Zachód przez "zieloną granicę".
Nie zdążył. W przeddzień planowanej wyprawy usłyszał nocą walenie do

drzwi, ^(o, pokonu) rozkaz powtarzający się jak echo na wschodnich terenach Polski: "sobierajtes s - *namu*". Przewieziono go do więzienia. Parę miesięcy później, w marcu 1940 roku, NKWD zabrało żonę z dziećmi, zapewniając, że ojciec czeka na stacji kolejowej i będzie to tylko przesiedlenie do "innej obłasti". O dziwo, rosyjski żołnierz o tzw. miękkim sercu obudził wszystkich niesak-kołów kamienicy, nakazując pomoc w gromadzeniu nowiarutu, zabiłaniu drobiu na drogę i pakowaniu.

Na stacji ojca nie było. Wykonano natomiast przez północną dobę okoliczną ludność, głównie przesła kobiety, starców i dzieci - bo mężczyźni zabrano wcześniej - i lokowano w zimnych wagonach towarowych po 8 rodzin, na jedną rodzinę "opowiadawanie" przyznawano pół wa sółki.

Podróż przez Dubne i Zdołbunów, gdzie nastąpiła przesiadka do wagonów rosyjskich, a następnie przez bezkresne obszary byłego ZSRR Moskwe, Kazan, Swierdłowsk, Czelabińsk - trwała dwa tygodnie. Dzieci chorowały, ludzie umierali, ostra zima dziesiątkowała transport. Podczas całej podróży "deportowani wrogowie narodu" otrzymali tylko cztery razy ciepłą strawę. Wreszcie któregoś dnia pociąg zatrzymał się na bocznicę kolejowej. Było to miejsce przeznaczenia - "Suchotino, Siewierokazachstanskaja obłast, Krasnoarmiejskij rejon". Stacja, szpital, władze gminne, elewatory, szkoła. I step gdzie okie sięgnąć; zimno, obco, ogromne zmęczenie podróżą, strach przed nieznanym. Naczelnik transportu kazał wysiąść i ustawić się w grupach. miało nastąpić przydział tego towaru ludzkiego do poszczególnych kachozów, przy czym wybierano rodziny z różnych grup, aby zapobiec tworzeniu się więzów koleżeńskich i przyjacielskich, ludzie po podróży powinni znowu być sobie obcy.

Przywieziona do odległej o 8 km od stacji Tatjanowki-Krowiszeje polska rodzina po raz pierwszy zetknęła się z miejscową ludnością - Kazachami, Kirgizami, Karelcami, Rosjanami, Ukraińcami, a także Polakami przywiezionymi w 1936 roku z terenów dawnej Rzeczypos

litej. Otoczyli oni nowoprzybyłych w ziemiance pełniące funkcje świetlicy, pełni ciekawości, współczucia, niektórzy też wrogości. Najbardziej interesowało ich jednak co Polacy przywieźli "na wymianę". Przeszły też miejscowe władze kołchozu o dźwięcznej i ^{nie} ^(nawet) wiele mówiącej nazwie "Wesoły Trud", zapowiadając, że tu, w tym kraju, kto nie pracuje, ten nie je, wobec czego z miejsca przydzieleni zostaną do brygad pracy. Także dzieci.

Jeszcze tego samego dnia za kołdrę i mundur ojca chłopcy wraz z matką wytargowali "kąt" w ziemiance chutoru położonego obok wioski, w rodzinie Białokurów, i już następnego dnia poszli do roboty.

Brygad było sześć: centry rolnicze, ogrodnicza i hodowlana. Trzej starsi bracia - 15-letni Wacław, 13-letni Włodzimierz i 14-letni Henryk dostali przydział do brygady rolniczej odległej o wiele kilometrów od wioski; spędzali tam miesiące od wiosny do jesieni, orząc, broniąc, pilnując siewu i zbiorów. A plony były wspaniałe, choć ziemia nie znała ani nawozów, ani płodozmianów; uprawiano pszenicę, owies, kukurydzę i od 1944 roku nieznanne przedtem żyto. Bracia dostawali 2 x dziennie jedzenie - "hałuszki" - gotowane gałki ciasta z mąki z wodą, "kopiatoł" i chleb.

Dwaj młodsi - 11-letni Kazimierz (autor wspomnień) i 9-letni Zbigniew wraz z matką zostali pastuchami 150 krów, które trzy razy dziennie przypędzano w pobliże wsi do udoju, następnie do rzeki i z powrotem na pastwisko. Mleka mieli pod dostatkiem, na pastwisko zabierali placki z rozgniecionych ziaren ~~zboż~~. →
Przed nocą młodszy brat wraz z matką wracali do wsi, a Kazik zostawał z trzodą w stepie.

O czym wtedy myślał? O ojcu, czy żyje, gdzie jest? O braciach pracujących w polu, O matce coraz gorzej znoszącej 40-stopniowe upały? O "trudodniach" - dniówkach obrachunkowych i jak zdobyć jedzenie? A może żeby nie być tak przeraźliwie samotnym pod tą rozgwieżdżoną kopułą nieba?

W tym pierwszym kazachstańskim roku nie odczuwało się jeszcze dotki

wie głodu: każdy pracujący dostawał od wiosny do jesieni kilogram chleba, a na rocznicę rewolucji październikowej, przed 1-ym majem i na Nowy Rok nawet miskę kapuśniaku z wkładką mięsną, dzieci po paczkach cukierków, a mężczyźni po "stakanie" wódki. Dopiero po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, kiedy ^{wakacje} mężczyźni, a także konie i traktory dla wojska, kiedy ograniczono przydziały żywności po żołdactwie i chleb do 300 g dziennie, a w kolchozach zostały tylko kobiety, dzieci i "wrogowie narodu" - czyli Polacy i Niemcy przesiedleni z autonomicznej Republiki nadwołżańskiej - zaczęły się straszliwe lata.

Matka albo przebywała w szpitalu albo we wsi i chłopczy musiała zjadać o wszystkim. Bardzo przydało się wtedy doświadczenie wykastrowane z domu rodzinnego i sposób wychowania wajackiego ciele-robacza, który swoich pięciu synów prowadził nieczym zastępem handlarzy z kucerką polową, kazał im szukać jagód, grzybów, orzechów, gruszek, smyrnów. Jemu zawdzięczali swoją zaradność, szczególnie dwaj najmłodsi, jeszcze dzieci, które musiały podjąć trud dorosłych. W tym samym plusem był fakt, że mieszkali już "u siebie", nie w chutorze u Białokurów, ale we własnej ziemi nabytej za 2 kołdry i garnitur.

W 1942 roku Wacław, który od roku pracował na stacji kolejowej, przyniósł wiadomość o zbierającej się armii gen. Andersa i trzech starszych bracia po paru dniach oczekiwania na transport - wyjechali. Głową rodziny został 13-letni Kazik, przydzielony teraz do brygady rolnej. Walczył o przeżycie trzech osób. Latem robił to "sposobem" chowającym garście zboża podczas prac polowych. Gorzej było zimą - a zimy były w tych latach coraz ostrzejsze i od lutego mniej więcej, do ziemianki zaglądał głód. Szukał liści kapuścianych pod wielometrowymi zaspaniami śniegu, wygrzebywał resztki ziaren z placów, gdzie jesienią młócono kombajnami, zakładał sidła na przepiórki i zajace - z marnym, najniższym skutkiem. Jako "innostrący" Polacy nie mieli, niestety, prawa do działki przyzagrodowej czy też chowania bydła, co jakoś zabezpieczyłoby ^{ich na} zimę. Nie było już ubrania ani bielizny do wymiany na żywność. Obaj bracia na zmianę nosili połatany w wiele warstw kożuszek i jedną parę watowanych spodni i jedną parę walonek. Wkrótce i walo-

nek zabrakło, nosili "postoły" - formy wycięte z twardej niewyprawionej skóry zabitej krowy i ściągnięte w kostce rzemykiem - które kaleczyły nogi zamarzając w nieregularne kanty.

- To co najbardziej pamiętam z tamtych lat to głód i zimno. O parę kilometrów od Tatjanowki przejeżdżały pociągi z Karagandy wyładowane węglem, a my zamarzaliśmy. Paliliśmy w piecu piołunem zbieranym na śniegu, "kiziakami" i "kirpiczem", czyli wyschniętym i pociętym na kostki obornikiem, niestety opału było stale za mało. Kiedyś chciałem "skorbinować" więcej zapasów, Użytkownikem zgodę na zabranie resztek niejadłnej już przez bydło słomy, tzw. "perejadów" z obory, gdzie pracowałem zimą i przyszykowałem opał na saniach, ukrywając w nim trochę "kirpiczu". Dozorca o nazwisku Rakowicz, potomek polskich Sybiraków dziewiętnastowiecznych, zresztą całkowicie zrusyfikowany, w ostatniej chwili zmienił zgodę na zakaz, a kiedy zacząłem się "stawiać", obrzucił ordynarnymi wyzwiskami i zaciągnął do "kantory" do zwierzchnika. Gdybym nie uciekł i nie wyciągnął z sanii owego nielegalnie schowanego "kirpiczu" - prawdopodobnie nie rozmawialibyśmy teraz. Prawa winy i kary nie były tam traktowane z przymrużeniem oka - nie znano litości nawet w stosunku do dzieci. Życiu zagrażały nie tylko głód i mrozy, zagrażały także - ludzie.

Stosunek miejscowych kołchoźników zmieniał się do Polaków w zależności od sytuacji historycznej. Najpierw był wrogi, czasem współczujący, wraz z powstaniem armii Andersa - polepszył się. Wyjście wojsk z ZSRR zepchnęło nas ^(powołanie) na pozycje "właditiei naroda"; ^{aby współpracować} wraz z powstaniem Związku Patriotów i rosnącej popularności Wandy Wasilewskiej - staliśmy się przyjaciółmi w walce. Nie miało to, oczywiście, żadnego wpływu na jakiegokolwiek ulgi w pracy, normy żywności, czy choćby zrównania praw Polaków z innymi kołchoźnikami.

Zimą czyhało na ludzi jeszcze jedno niebezpieczeństwo: wilki. Chyba do końca życia pamiętać będę zdarzenie mające miejsce w wiosce zimą 1944/1945. Otóż kiedy nocą wygasł żar na palenisku pieczołowicie podtrzymywany - bo zapałek nie miał tam nikt - wyszedłem na jedyną we

wsi ulicę, aby zobaczyć z którego komina ziemianki unosi się smuga dymu. Nagle do sieni - a drzwi otwierały się do środka - wpadł Bukiet zaprzyjaźniony pies sąsiada, I kiedy wracałem z żarzącym "kirpiczem" obok naszej ziemianki ^{dzienne} wilków rozszarpało biedne zwierzę. Bukiet uratował mi życie.

W dwóch ostatnich ^{kazachstańskich} latach ciągle ^{używ} mama zaczęła wraz z pracującymi synami produkować cegły na pisce i paleniska. Do wykopanego dołku o wymiarach 2 x 2 m wsypywała glinę, piasek, dolewała wodę, a chłopców po powrocie z pola czy obory "z dobiegi" mieszali masę nogami i formowali cegły, które układano do wysuszenia na słońcu. Ta "produkcja" umożliwiła im zdobycie mleka, jarzyn lub rucii, za które w miejscowym sklepiku - "kawce" można było nabyć tylko naftę i sól - jeżeli dowieźli.

I tak minęło 6 lat. Pani Helena Jurkowa, Kazik i Zbyszek byli w tjanowce pozbawieni wszelkich wiadomości. W pobliżu nie było Polaków nie dochodziły gazety, nikt nie posiadał radia. Miejscowe władze powiały konsekwentnie i uparcie propozycje przyjęcia obywatelstwa radzieckiego. Ale matka twardo odpowiadała "nie", a za nią chłopcy.

Wracać. Wracać do Polski, do rodziny. Wracać jak najszybciej.

Nie po to rozmawiała z synami po polsku, przypominała fakty, ojczyznę, wydarzenia, krajobraz, nie po to czytano wieczorami przy kaganku kolejno dwie zabrane książki: "Pana Tadeusza" i modlitewnik.

I wrócili.

A ojciec i trzej najstarsi? Dane im było szczęście spotkania przy padkiem w obozie wojskowym na Bliskim Wschodzie. Walczyli wspólnie pod Monte Cassino. Tam poległ ojciec i Wacław.

Włodzimierz, cały czas chorujący, znalazł się w Anglii, gdzie wmontowano mu rozrusznik serca. Odwiedził Polskę, ale biedne serce nie pracowało już długo.

Henryk i matka umarli na zawały w Małęczowie.

Chłopcy "na schwał", wysocy, urodziwi ^{bracia Jurkowie,} ciężko zapłacili za Kazachstan. I pomyśleć, że najstarszy miałby dopiero 67 lat...